

# Maria Skowrońska-Klinke

---

## Wspomnienie z deportacji do ZSRR (1944-1946)

---

Rocznik Kolbuszowski 5, 145-155

---

2001

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Wspomnienie z deportacji do ZSRR /1944-1946/*

Urodziłam się 15 sierpnia 1921 r. w Kolbuszowej Dolnej koło Kolbuszowej, jako jedno z dzieci Ignacego i Joanny Augustyn, rolników. Miałam kilkoro starszego rodzeństwa i młodszego brata Jana. Rodzice moi wyjechali, przed rokiem 1910, na emigrację zarobkową do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a powrócili do kraju po otrzymaniu przez Polskę niepodległości. Za pieniądze zarobione w USA, kupili osiem hektarów ziemi w swojej wsi, w Kolbuszowej dolnej, przy drodze do Zarębek i zbudowali nam drewniany, rodzinny dom. W odrodzonej Polsce, w II Rzeczypospolitej, panowały inflacja i różnorodne trudności, zwłaszcza gospodarcze i Ojciec wkrótce, po urodzeniu się, w 1923 r., brata Jana, pojechał z powrotem, za pracą do USA. My, dzieci, pozostałyśmy z Mamą. Władysław, jeden z braci, urodzony w 1911 r., pomagał jej w prowadzeniu gospodarstwa. Stanisław, starszy od niego, chodził do kolbuszowskiego Gimnazjum. Wstąpił on potem do stałej służby wojskowej, ale zginął z rąk Sowietów w 1941 roku we Lwowie, gdzie pozostał po wrześniu 1939 r. Ja, skończywszy przepisaną ilość klas szkoły powszechnej, także uczyłam się przez dwa lata w Gimnazjum, ale przerwałam naukę, zniechęcona pewnymi trudnościami z matematyki. Pozostałam w domu. Wnet wybuchła II wojna światowa.

W czasie wojny pracowaliśmy na gospodarstwie. W drugiej połowie wojennych lat bracia moi, Władysław i Jan, zostali członkami Armii Krajowej (AK), konspiracyjnego Wojska Polskiego, powołanego do życia przez Rząd Polski, powstały na emigracji w Europie Zachodniej. Działalność konspiracyjna w Kolbuszowej Dolnej była szeroko rozwinięta. Najpierw, prawie że od początku wojny szerzył ją Adam Rychel, starszy przodownik Polskiej Policji, od końca 1939 do jesieni 1942 komendant posterunku PP w Kolbuszowej. Mieszkał z rodziną, z żoną i dwojgiem dzieci, w naszym sąsiedztwie. W jego domu zamieszkali, w 1943 r., aktywni członkowie AK, Michał Mokrzycki "Orlik", "Bartnik", referent prasowy Komendy Obwodu AK w Kolbuszowej, oraz Tadeusz Rożek "Sawa", używający wtedy nazwiska Ościak. Ten niezwykle odważny młody człowiek, przybyły z Rzeszowa, organizował w Kolbuszowej i okolicy, akowskie grupy dywersyjne, mające wywoływać akcje antyniemieckie. Adam Rychel i jego lokatorzy wciągali mężczyzn do organizacji. W jesieni 1943 roku Adam Rychel zmarł, ale dom jego pozostał ważnym ośrodkiem akowskiej pracy. Brała w niej udział

Władysława Rychel, wdowa po Adamie, pseudonim "Warta", wciągnięte były do niej i jej dzieci, Maria i Tadeusz, nie mający jeszcze wtedy po osiemnaście lat. Ja nie składałam przysięgi organizacyjnej, ale wiedziałam o pracy i czasem uczestniczyłam w niej, spotykając się z kolegami braci czy pełniąc rolę łączniczki. Wtedy poznałam Kazimierza Klinke, będącego do roku 1943 polskim policjantem, ukrywającego się potem przed Niemcami i Leszka Braitera, młodego przybysza do Kolbuszowej, który pracował jako instruktor w Baudeienst-cie w Świerczowie i był zapalonym akowcem, pod pseudonimem "Brzoza". W stodole Rychłów Michał Mokrzycki drukował, od drugiej połowy 1943 r., akowskie pismo "Na Posterunku", a czasem czynił to i w naszym budynku gospodarczym. Mieszkaliśmy na uboczu i miejsce było dobre na spotkania kolegów.

Potem przyszedł rok 1944. W lipcu akowcy realizowali plan "Burza", w sierpniu ziemię naszą zalała armia radziecka. Pod osłoną tej armii komuniści, inspirowani przez Józefa Stalina, obejmowali władzę w naszym kraju i przystępowali do unieszkodliwiania, do aresztowania przeciwników, zwolenników Rządu na emigracji w Londynie, członków AK i w ogóle osób, podejrzanych o posiadanie broni. Głównymi narzędziami walki władzy komunistycznej z "reakcją" były wojewódzkie i powiatowe urzędy bezpieczeństwa publicznego i posterunki milicji obywatelskiej. Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego PUBP, w skrócie UB) powstał i w Kolbuszowej.

Do nas, po zakończeniu akcji "Burza", Leszek Braiter przyniósł dwa czy trzy niemieckie karabiny, automaty. Wtedy akuratnie były żniwa i bracia rzucili tę broń pod stawiany, na podwórzu, stóg snopków zboża. Potem przyszli do nas Sowieci na kwaterę. Po jakimś czasie zakładając telefon, przesunęli stóg w inne miejsce. Znaleźli automaty i zabrali je, nikomu nic nie mówiąc.

Aresztowania akowców w Kolbuszowej ubowcy razem z funkcjonariuszami NKWD rozpoczęli w ostatnim dniu września 1944 r. W tym dniu wzięli trzech Lenartów: ojca Wojciecha, leśniczego i jego synów Jana i Stanisława, z leśniczówki pod Werynią. Wzięli i - przepadło. Słuch po tych ludziach zaginął i do dzisiaj nie wiadomo, co się z nimi stało. W dniu 1 października zabrali ubowcy Władysławę Rychłową. Chcieli koniecznie ująć "Sawę". Przyszli po niego w dniu 4 października i zastali go w domu Rychłów. Uciekł, ale strzelali za nim i gdy przeskakiwał płot, dosięgła go seria z karabinu maszynowego, raniąc śmiertelnie w brzuch. Ja, na odgłos strzałów u Rychłów, niepotrzebnie tam pobiegłam. Ubowcy przyglądali mi się i zapamiętali. Przez przeszło miesiąc nic się działo. Dopiero w dniu 7 listopada trzech ubowców przyszło, po południu, do mojego domu. Zastali braci i mnie i zabrali nas ze sobą, mówiąc że nas biorą na przesłuchanie. Pogoda była wtedy jeszcze ładna. Miałam na sobie niezbyt ciepłą bieliznę i sukienkę, na nogach płytke buty. Wzięłam kurtkę i chustkę na głowę. Bracia też byli lekko ubrani. Nie spodziewaliśmy się tego, co nas spotkało. Szliśmy do Kolbuszowej, do budynku PUBP przy ulicy 3 Maja, dzisiaj

przy ul. Obrońców Pokoju 1, trzema parami. Najpierw mnie prowadził, pod rękę, Tadeusz Wiśniewski, Białorusin, który przybył do powiatu kolbuszowskiego w 1943 roku, jako sowiecki partyzant, skoczek spadochronowy i rozpoznawał tutejsze struktury AK. Był w mundurze polskiego porucznika. Dzisiaj wiem, że ten mundur był własnością Jerzego Marii Tyszkiewicza, właściciela kolbuszowskiego majątku ziemskiego, aktywnego akowca, który do dnia 7.11 też już był aresztowany przez UB-NKWD. Białorusin ustroił się w mundur polskiego porucznika i odgrywał Polaka. Za nami brata prowadził Stanisław Winiarski, kolbuszowianin, rówieśnik i szkolny kolega Jana, który wstąpił na służbę do PUBP w Kolbuszowej i wiernie służył NKWD, znając ludzi i pomagając ich wyłapywać. Ten Stanisław Winiarski był jedynym kolbuszowianinem, który służył w kolbuszowskim PUBP przez wszystkie lata jego istnienia. W 1945 roku przyjął on nazwisko - Dzyndra. W jesieni 1944 r. zdobył on sobie opinię wielkiego szubrawca, zbira. W trzeciej parze szedł z moim bratem Władysławem, któryś z braci Osetków, chyba także Władysław, też drań wysokiego rzędu. Wymienieni mężczyźni przyprowadzili nas do budynku PUBP i zamknęli każde z nas w innym pomieszczeniu. Jeszcze tego samego wieczoru byliśmy przesłuchiwani, też każde z osobna. Na pierwsze przesłuchanie wzięto mnie do jakiegoś dużego pokoju. Przy stole siedziało dwóch Sowietów, oficerów NKWD i dwóch Polaków - ubowców, nieznanymi mi. Kazano mi usiąść na stołku, niedaleko od stołu, położono mi miednicę z wodą na kolana, a dwóch innych ubowców stanęło obok mnie po obu stronach ramion. Pytania stawiał ubowiec siedzący przy stole. Pytał mnie, jaki mam pseudonim, od kiedy należę do organizacji Armia Krajowa, jakich ludzi znam, z kim spotykam się w tej organizacji, nazywał mnie narzeczoną "Sawy", pytał się, co o nim wiem, z kim on się spotykał i gdzie, w moim domu, jeszcze jest ukryta broń? Odpowiadałam, że nie należę do organizacji, że nie mam pseudonimu, że nie jestem narzeczoną "Sawy", że o nikim nic nie wiem. Za każdą odpowiedź ubowcy, stojący obok mnie, bili mnie zaciśniętymi pięściami po głowie, twarzy i plecach. Krew pociekła mi z nosa, więc wsadzili mi głowę do miednicy, którą przytrzymywali na moich kolanach. Po godzinie czy więcej, gdy byłam już pokrwawiona i nie mogłam mówić, ubowcy, stojący obok mnie, wzięli mnie pod rękę i zawlekli po schodach na strych budynku, gdzie nikogo nie było. Rzucili mnie na podłogę. Na strychu spędziłam dwa tygodnie. Było mi zimno w tej mojej sukience i kurtce, no i głodno. Jako pożywienie dawano mi, raz na dzień, kawałek chleba i trochę zupy - wody w kubku. Drugie przesłuchanie, odbyte po tygodniu, było podobne do pierwszego. Powiedziałam podczas niego, że jest mi zimno. Ubowcy nie zareagowali na moje słowa, ale jeden z Sowietów przyniósł mi później, na strych, stary, cuchnący, zawszony kozuch. Brzydziłam się ale przykryłam się nim jednak, żeby było mi cieplej. Jakoś szczęśliwie nie przeziębiam się na tym strychu.

Po dwóch tygodniach kazano mi jednego wieczoru wyjść na podwó-

rze. Było tam dużo mężczyzn, a wśród nich znajomi z Kolbuszowej i Kolbuszowej Dolnej. Braci wtedy nie zauważyłam. Na ulicy, przed budynkiem, stały dwa czy trzy samochody ciężarowe. Po pewnym czasie kazano nam wchodzić na paki tych samochodów i siadać na deskach, na spodzie pak, jeden więzień pomiędzy rozsuniętymi kolanami drugiego. Byłam jedyną kobietą w samochodzie. Ruszyliśmy w drogę. Pilnowali nas ubowcy z bronią w ręku.

Jazda trwała ze dwie godziny. Wreszcie stanęliśmy przed dużymi budynkami. Mężczyznom kazano zejść, mnie zostawiono na pace pod strażą kierowcy samochodu. Miałam wtedy możliwość ucieczki. Kierowca pozwolił mi zejść z paki i odejść na bok, za potrzebą. Myślałam o ucieczce, powinnam była uciekać i ukryć się gdzie, ale było ciemno, nie wiedziałam, gdzie jestem - i nieszczęsna, wróciłam do samochodu. Wnet potem przyszedł ubowiec i zaprowadził mnie do jakiegoś budynku, do salki, gdzie stały łóżka. Położyłam się na jednym z nich i przestraszona, smutna, zdezorientowana - zasnęłam.

Rano ubowcy przyprowadzili do izby dwie kobiety. Zaczęłyśmy rozmawiać. Były z Rzeszowa. Jedna z nich nazywała się Bartosik. Pani ta jakiś czas siedziała w więzieniu WUBP w Rzeszowie w jednej celi z Władysławą Rychel. Opowiadała o krwawych przesłuchaniach, jakie Rychłowa przechodziła, o konfrontacjach jej z członkami AK. Dowiedziałam się, że jestem w Przemyślu, i że pewnie wywiozą nas do ZSRR.

Z Przemyśla następnie przewieziono nas do baraków w Bakończycach, znajdujących się przy przedwojennych koszarach polskiej artylerii. Tu dołączono nas do grupy kobiet. Były wśród tych kobiet kolbuszowianki, moje znajome: Natalia Babko i Zofia Gruszka - nauczycielki, Maria Dudzińska, Zofia Januszewska, Zofia Golniewicz, Anna Kić - urzędniczka, Zofia Kotlarek, moja kuzynka Z. Golniewicz, Aniela Mielcuszny, Stefania Opalińska - żona piekarza i Zofia Wildhirt. Później poznałam Annę Pękalską z Raniżowa. Gdy nas policzono, okazało się, że jest nas czterdzieści z całego województwa rzeszowskiego. Trzymano nas razem dwa czy trzy dni, dając do jedzenia, raz na dzień, kawałek chleba i garnuszek zupy. Dano nam też po sztuce niemieckiego płaszcza wojskowego lub bluzie od munduru. Jednego dnia wzięto nas też do publicznej łaźni, gdzie z rozkoszą wykapałyśmy się. Następnie zaprowadzono nas do koszar w Bakończycach, gdzie odbyło się przekazanie nas w ręce funkcjonariuszy NKWD i przyłączenie do rzeszy zgromadzonych mężczyzn. Zaraz potem zawieziono nas wszystkich samochodami na stację kolejową w Przemyślu i załadowano do wagonów towarowych. Później dowiedziałam się, że było nas w przygotowanym transporcie prawie dwa tysiące ludzi.

Nas, czterdzieści kobiet, umieszczono w jednym wagonie. Wagonie zimnym i pustym. Były to ostatnie dni listopada. W wagonie był żelazny piecyk i otwór w podłodze, czyli - latryna. Po jakimś czasie pociąg ruszył,

wioząc nas w nieznane. Niektóre z nas denerwowały się, płakały, pragnęły wracać do domu. Nie było jednak odwrotu. Gdy po pewnym czasie jazdy pociąg zatrzymał się, przed wjazdem na stację, któraś z kobiet powiedziała - a może nas rozstrzelają? Ale pociąg ruszył w dalszą drogę. Niedaleko przed Lwowem pociąg znowu stanął i usłyszałyśmy strzały. Stał z godzinę. Już w ZSRR dowiedziałyśmy się, że stanął on dlatego, że z jednego wagonu zaczęli wyskakiwać więźniowie. Jednemu stopa wpadła pod koło i mimowolnie *zaczai krzyczeć* z bólu. Krzyk usłyszał konwojent, siedzący w budce na dachu wagonu, zatrzymał pociąg i strzelał do uciekających. Część uciekających złapano, kilku jednak zbiegło, korzystając z ciemności. Wśród tych co uciekli, byli dwaj mężczyźni z powiatu kolbuszowskiego, z Porąb Kupieńskich: Władysław Miazga i inż. Jan Zdzisław Skrzypek.

Pociąg nas jechał, a czasem stał w polu całymi godzinami. W wagonie było zimno. Z czasem na ścianach wagonu osiadł szron. Wiedziałyśmy, że przejechałyśmy Lwów. W późniejszych dniach, na którymś z postojów, otwierano drzwi wagonów, zamkniętych od zewnątrz i wsuwano do środka kawałki chleba w jakimś koszyku, garnek czy miednicę zupy, a czasem i wiaderko ciepłej wody, zabarwionej zielem. I parę łyżek. Kilka razy była i kasza. Raczyłyśmy się po kolei, każda po łyżce, dwóch czy trzech. Pociąg stał, aż naczynia, w wagonach zostały opróżnione i oddane. Zupą była najczęściej grochówka, ugotowana na marynowanych śledziach, słońa. Chciało się po niej bardzo pić. Ciepłej wody - kipiateru, było mało i nie było jej codziennie. Po kilku dniach jazdy lizaliśmy szron ze ścian wagonu, chociaż miał on przykry zapach i smak. Nie mając wody, nie myłyśmy się, ale któraś z nas miała grzebień, więc czesałyśmy się. Zawinięte niemieckimi płaszczami wojskowymi, zbiłyśmy się w gromadę na podłodze wagonu i rozgrzewały, jedna od drugiej. Rano i wieczór modliłyśmy się. Czasem wspominałyśmy coś ze swojego życia.

Jechałyśmy w nieznane dwanaście dni i tyle samo nocy. Zimno było coraz większe. Z głodu, cierpianego już od kilku czy kilkunastu tygodni straciłyśmy siły. Tak samo było z mężczyznami w innych wagonach. Aż wreszcie, jednego popołudnia, pociąg stanął, po czym, po pewnym czasie, otworzono drzwi wagonów i kazano nam wysiadać. Zebrano nas przed budynkiem stacji o nazwie Borowiczi. Po naszymu - Borowicze. Dzisiaj wiem, że było to dosyć duże i uprzemysłowione miasto, leżące w połowie drogi pomiędzy Leningradem a Moskwą, w obłastcie leningradzkim, na linii Wielkiego Nowogrodu. W tym mieście i wokół niego znajdowały się obozy przymusowej pracy dla różnorodnych więźniów, jeńców wojennych i dla takich jak my, jak później dowiedzieliśmy się, internowanych, zatrzymanych.

My wszyscy, wypuszczeni z wagonów, byliśmy brudni, bezsilni, spragnieni. Mężczyźni nosili brody. Niektórzy mieli już odmrożone różne części ciała. Większość z nas od razu rzuciła się na śnieg i lizała go. Przeszka-

działa temu, z krzykiem i biciem, obsługa transportu, dotychczasowi nasi, sowieccy konwojenci. Przyszedł im z pomocą nowy oddział enkawudzistów, mający duże psy, wilczury, na smyczach.

Zaczęto odczytywać nasze nazwiska, sprawdzano obecność. I ja dopiero tam, wśród panującej już nocy, dowiedziałam się, że w transporcie są też moi bracia, Jan i Władysław. I dużo mężczyzn z Kolbuszowej, Kolbuszowej Dolnej i z innych miejscowości powiatu kolbuszowskiego. Razem kilkaset ludzi.

Nie pamiętam, ile czasu zabrało sprawdzanie naszej obecności. W pewnej chwili kazano nam stawać czwórkami, po "cietyre czołowieka", obstawiono enkawudzistami z psami i kazano - iść. Najpierw szliśmy przez miasto. Spotykaliśmy ludzi, tubylców. Ci, zwłaszcza młodzież, obrzucali nas pogardliwymi spojrzeniami i wołali "Połączki - buntowszczyki, sukinsyny, mikołaczyki". A my szliśmy, skostniali, staniając się ze zmęczenia. Szliśmy przez noc, przebywając dziesięć czy piętnaście kilometrów, zaśnieżoną drogą. Już rano stanęliśmy przed obozem, łagrem, zespołem baraków, otoczonych rzędami drutu kolczastego, przy którym wznosiły się wieże wartownicze, prawie takie same, jakie były u nas w niemieckich obozach koncentracyjnych. Tylko nad bramą wejściową wisiała olbrzymia, czerwona gwiazda. Otwarto tę bramę i wpuszczono do obozu nas, kobiety i pewną ilość starszych mężczyzn z transportu. Innych mężczyzn popędzono dalej. Byli wśród nich i moi bracia.

My, pozostawieni w pierwszym obozie, czekaliśmy dosyć długo, zanim wyszli ludzie z obsługi obozu i przyjęli nas. Później dowiedzieliśmy się, że obóz ten nosił nazwę - Szybotowo. Polacy nazwali go - Szepetowo. Znajdował się on na podmokłej, bagnistej dolinie, nie posiadającej, w zasięgu wzroku, ani drzew, ani krzewów. W barakach obozowych długich na około piętnaście metrów, szerokich na pięć metrów, byli już ludzie. Byli Polacy od Warszawy i Lubelszczyzny, Niemcy i Węgrzy. Gdy obsługa obozu przyjęła nas, dano się nam napić ciepłego, nawet gorącego "kipiatoku". Kilka łyków ożywiło nas. Następnie wzięto nas do baraku - łaźni (bani), kobiety osobno, mężczyźni osobno. Banię obsługiwali mężczyźni, a my musiałyśmy całkowicie się rozebrać i oddać naszą odzież do dezynfekcji. Nam, wychowanym we wstydlivości, to rozebranie się przy mężczyznach, było bardzo przykre. W łaźni nie było kąpieli, tylko mycie się, pochłapanie ciała ciepłą wodą z drewnianych korytek. Potem czekając na zwrot odzieży, wysychałyśmy. Gdy ubrałyśmy się, zostałyśmy przyprowadzone z powrotem do baraku. W baraku była jedna długa izba, zastawiona piętrowymi pryzkami z desek. Prycze tutaj nazywały się nary. Izba była lodowato zimna, chociaż stał na środku żelazny piec i leżało przy nim świeże drzewo z lasu, razem z gałęziami. Należało nim palić w piecu. W baraku zastałyśmy pewną ilość Niemek, które nie chodziły do pracy. Nam, nowo przybyłym dano kilkudniowy odpoczynek. Była to tak zwana kwarantanna. Dawano nam przez

te dni trzy razy dziennie po trochę zupy, ugotowanej na marynowanych śledziach z kiszonych liści kapusty czy buraków, oraz po kawałku czarnego, ciężkiego i lepkiego chleba. Jako naczynia na zupę używałyśmy puszek po konserwach. Powoli poznawałyśmy życie obozowe. Napisy nakazujące to czy tamto, czy zabraniające tego czy tamtego, zrobione były w języku rosyjskim i niemieckim. Komendantem obozu był oficer, chyba Rosjanin, który mówił po rosyjsku, po polsku i po niemiecku. My mieszkając w tym baraku przez cztery miesiące, nie rozmawiałyśmy z Niemkami.

Po kilku dniach kwarantanny oglądnięto nas i podzielono na grupy, jakby brygady (zawód). Każdy zawód miał przywódczynię. Jedne zawody skierowano do pracy w kuchni, inne w pralni, w szwalni czy w magazynie, gdzie sortowało się ponemiecką odzież. Z powodu tego, że pracowałyśmy w budynku pod dachem, położenie nasze było lepsze, niż położenie mężczyzn, którzy chodzili do pracy na dworze, na drogach czy w lesie. Była to przecież rosyjska, surowa zima. Praca w kuchni dawała możliwość zjedzenia czegoś po kryjomu, nawet schowania czegoś dla kogoś znajomego, a praca w magazynie pozwalała zdobyć coś z sortowanej odzieży, coś do ubrania się, do położenia na gołych deskach pryczy. Gdy człowiek się zadomowił, poznał jak rozwijał się w obozie handel wymienny. Nie posiadałyśmy nic poza pryczami i jakimś stołem, ale z czasem każda z nas zdobyła jakiś woreczek czy węzełek i trzymała w nim coś swojego, puszkę z konserw służącą za garnuszek i talerz, jakąś zdobytą odzież, czy kawałek gazety.

W każdej pracy wyznaczona była dzienna norma do wykonania i po dniu w "normirowszczyk" sprawdzał wykonanie normy. Od jej wykonania zależało otrzymanie normy dziennego pożywienia. Kto nie wykonał normy pracy, nie dostał i normy pożywienia.

Moją pierwszą pracą była praca w pralni obozowej. Rano "normirowszczyk" przydzielał każdej z nas piętnaście sztuk odzieży do wyprania przez dzień. Pralnia i suszarnia mieściły się w oddzielnych barakach. W obydwóch paliło się w piecach, w pralni dla zagrzania wody do prania, w suszarni, żeby wyprane *rzeczy* szybciej schły. Prało nas kilkanaście kobiet. Rzeczy przeznaczone do prania były bardzo brudne, prałyśmy je w niezbyt ciepłej wodzie na drewnianej tarce, pocierając mydłem. Proszku nie dostawałyśmy. Bielizny nie gotowałyśmy i po naszym praniu była ona ciemna, szara, prawie ziemista, a schła tygodniami. Zawsze pilnował nas jakiś żołnierz. Po ośmiu godzinach pracy wieczorem "normirowszczyk" oceniał jej wynik. W barakach było światło elektryczne.

Do Szybotowa przywieziono nas na początku 1944 r. Po kwarantannie i kilkunastu dniach pracy były Święta Bożego Narodzenia. Pierwsze na deportacji. W święta pracowałyśmy normalnie jak w dni powszednie. Jednak koleżanki pracujące w kuchni starały się zorganizować po jakimś ziemniaku czy łyżce cukru. Wieczór, po pracy, śpiewałyśmy kolędy.



Po świętach brano mnie wraz z innymi kobietami do palenia w izbach barakowych, w których były przechowywane ziemniaki, gotowane głównie dla radzieckiej obsługi obozu i czasem w zupie dla nas, do mycia beczek po kapuście czy kiszonych liściach buraczanych. Wtedy można było zdobyć coś do zjedzenia. Pod wiosnę przebierałyśmy ziemniaki i marchew. Konwojent, poproszony, pozwolił czasem ugotować ziemniaków czy marchwi w zdobytej puszcze po gazmasce. Dostawało się po ziemniaku czy po dwa, upieczone razem ze skórką. Czasem sprzątało się w głównym magazynie żywnościowym i wtedy coś zawsze skorzystało się dla siebie. Jeszcze raz podkreślam, że sam fakt że pracowało się pod dachem był dobrodziejstwem. Korzystało z tego dobrodziejstwa i część mężczyzn: rzemieślnicy, krawcy, szyjący odzież dla obsługi obozu, szewcy, naprawiający stare obuwie czy robiący dla kogoś z "naczalstwa" nowe buty, ślusarze dokonujący różnych napraw. Warsztaty były w osobnych barakach. Wszelkie kontakty męsko - damskie "interniowanych" były surowo zabronione. Najgorzej było tym, którzy pracowali poza obozem, w kopalniach, lasach, na drogach. Pytaliśmy się nie raz lepszych naszych nadzorców, za co zostaliśmy tu przywiezieni i kiedy powrócimy do domów? Dawali różne odpowiedzi. Jeden mówił, że jesteśmy tu dlatego, że "chcieli my Polszu od morza do morza". Ale dawali nadzieję na dzień powrotu.

W marcu 1945 r. słońce mocniej przygrzewało i zaczynała się robić wiosna. Chyba wtedy zmarł w obozie w Szybotowie Jerzy Maria hrabia Tyszkiewicz, potomek dawnych właścicieli kolbuszowskiego majątku ziemskiego. Był w naszym transporcie i zostawiono go, w grudniu 1944 r., w obozie w Szybotowie. Kolbuszowianki pracujące w kuchni, jak Natalia Babko, Zofia Gruszkówna i Januszewska, starały się dostarczyć mu trochę więcej pożywienia, ale i tak rozstał się z życiem. Umierali i inni. Grzebano zmarłych płytko, w zamarznętej ziemi, właściwie w lodzie. Pobyt w Szybotowie był bardzo smutny.

Była już wiosna, gdy Sowieci dokonali wymiany nas, więźniów z Szybotowa i więźniów z obozu, położonego kilka czy kilkanaście kilometrów na północ. Miejscowość tamta nosiła nazwę Jegolsk, a Polacy nazywali ją Jogłą. Przybyli wtedy do Szybotowa kolbuszowianie, którzy w grudniu od razu byli zaprowadzeni do Jogły. W czasie tej wymiany, w Szybotowie, spotkałam się z moimi braćmi i dowiedziałam się, że podali się za szewców, chociaż nimi nie byli i dostali pracę w warsztacie szewskim. Sprawilo mi to radość.

Obóz w Jegolsku był o wiele większy niż w Szybotowie i bardziej zaludniony. Także leżał na terenie bezdrzewnym, ale na wzgórzu, nad szeroką, chociaż płytką rzeką Mstą. Niektóre baraki wkopane były w ziemię, stanowiąc ziemianki o małych okienkach.

W drodze do tego obozu spotykałyśmy domy tubylców, drewniane chaty. Po podwórzu nie kręcił się żaden człowiek, ani nie wyglądał oknem. Jedy-

ny dowód, że w domach żyją ludzie, stanowił dym, unoszący się z kominów. Nawet dzieci nie było widać.

Niedaleko, po kilkanaście kilometrów w różnych kierunkach, znajdowały się inne obozy przymusowej, niewolniczej pracy. Były to Kawanka, Szachta (obóz koło kopalni nisko kalorycznego węgla) i Ujście.

W Jegolsku (Jogle) przeżyłam, jak i większość moich towarzyszek i towarzyszy niedoli, prawie rok. Mnie znowu przydzielono do pracy w pralni. Przywożone całe samochody ciężarowe niemieckiej odzieży wojskowej, czasem z zakrzepłymi plamami krwi. Sortowaliśmy to wszystko i prałyśmy. W szwalni łątało się potargane sztuki. Były okazje do schowania czegoś odpowiedniego dla siebie. Przerabiało się to potem na bluzki, sukienki, kurtki.

Na początku pobytu w tym obozie przeżyliśmy Wielkanoc. Niedaleko od obozu znajdowała się dawna cerkiew, użytkowana jako magazyn zbożowy. Któryś z Polaków znalazł w jakimś jej kącie szaty kapłańskie. Wśród Niemców był ksiądz katolicki. On wiedział w jakim dniu przypada Wielkanoc i urządził nam w jednym z baraków świąteczne nabożeństwo. Postarał się nawet o zrobienie, w porozumieniu z kucharkami, opłatków i udzielił nam rozgrzeszenia i Komunii św. Wnet potem przyszła wiadomość, że wojna w Europie została zakończona. Był to już maj. Rosjanie mówili, że już niedługo wrócimy do domów. W serca wstąpiła otucha.

Na wiosnę czasami brano nas do oczyszczania dróg ze śniegu, a gdy ona zrobiła się na dobre, prowadzono nas, głównie w niedzielę, do siania jarzyn w okolicznych sowchozach i kołchozach.

Ciekawa byłam, jak żyją ludzie, tubylcy, w spotykanym to tu, to tam domku. Nie wolno nam było wchodzić do nich, ale ja raz, ukradkiem weszłam do jednego domku. Domek miał dwie małe izby czyściutko utrzymane. Podłoga była prawie, że biała. W domku była kobieta z kilkorgiem dzieci. Smażyła jakieś placki. Szybko podała mi jeden placuszek i kazała iść. Powiedziała, że nam nie wolno wchodzić do domów, a im rozmawiać z nami.

W lecie mieszkanie w ziemiankach było nawet przyjemne. Reżim obozowy nieco zelżał i pozwolono nam urządzić męsko - damski występ "kulturalny", przedstawienie. Pozawiażywały się pomiędzy rodakami znajomości a nawet i sympatie. Ale nasi mężczyźni, cierpiący na awitaminozę, zjadłszy coś niewłaściwego, napiwszy się nie przegotowanej wody, chorowali na czerwonkę i umierali. Było to bardzo smutne.

Także lato na Syberii jest bardzo krótkie. We wrześniu była już pełna jesień. Znowu prowadzono nas, w niedzielę, do sowchozów, kopać marchew, ziemniaki, wycinać kapustę. Ziemia była tam bardzo urodzajna. W krótkim czasie warzywa te urosły duże. Myśmy o tyle korzystali, że mogliśmy sobie upiec ziemniaków, czy czasem schować jakieś jarzyny do kieszeni. Nieraz, przy wejściu do obozu robiono nam rewizję osobistą i zabie-

rano znalezione rzeczy. Niekiedy udało się jednak coś przenieść i skorzystać z tego w obozie.

Dręczyła nas tęsknota za domem, za rodzinami, brak jakiejś wiadomości od nich. Bardzo bolało gruboskórne wzywanie konwojentów do pracy słowami: "dawaj dziwki na rabotu". Znowu przyszła zima, śniegi i mrozy i były drugie, w internowaniu, święta Bożego Narodzenia. Pracowałam wtedy w obozowej kuchni i po świętach przeżyłam bardzo ciężkie chwile. Same przecinałyśmy piłą drzewo, przeznaczone do palenia w piecach, a piła w obozie była tylko jedna i z kuchni pożyczali ją sobie mężczyźni na swoje ziemianki. Raz, gdy zabrali piłę, nie pomyślawszy, skoczyłam po nią do męskiego bloku. Było to surowo zabronione. Wzięłam piłę i zamieniłam kilka słów z mężczyznami, gdy nagle weszli do tego bloku dwaj Rosjanie i złapawszy mnie na "wielkim przestępstwie" wykrzyczeli mnie, chwycili i wepchnęli za karę do karceru, nazywanego "bunkrem". Była to mała, cementowa piwnica, bez okna, bez łóżka czy krzesła. Nawet szczury tam nie żyły. Oczywiście nie miała ogrzewania. Gdy mnie do niej wrzucono, zdenerwowana, usiadłam na podłodze, na cemencie i zaczęłam płakać. Tam spędziłam trzy doby. Raz na dzień wsuwano mi, przez szparę pod drzwiami, kawałek chleba i puszkę zupy. Zdawało mi się, że albo uduszę się w tym zamknięciu, albo umrę ze strachu i rozpacz. Przeziębłam się do szpiku kości, ale doczekałam się wypuszczenia. Nienawiść moja do rosyjskich potworów spotęgowała się, jednak pragnęłam przetrwać i wrócić do domu.

Po zamknięciu w bunkrze zachorowałam z przeziębienia. Dano mnie do "bolnicy", szpitala obozowego, gdzie lekarz leczył mnie, stawiając mi trzy posiadane bańki. Poleżałam, odpoczęłam w jakim takim cieple i wróciłam do baraku. Słabowałam dalej. Nie miałam sił pracować. Byłabym tam skończyła się, została na zawsze w tamtejszej, jakże obcej ziemi, ale w lutym przyszedł dla mnie i dla nas wszystkich Polaków szczęśliwy moment - powrót do domu. Mróz wtedy był czterdziestostopniowy, śniegi duże. One to sprawiły, że "naczalstwo" obozowe nie wysłało nas do stacji kolejowej w Borowiczach na piechotę, ale odwieziono nas tam samochodami ciężarowymi z demobilu. Załadowano nas, kobiety i mężczyźni oddzielnie, znowu do zimnych wagonów towarowych. Nie wszystkie wracałyśmy, bo niektóre pozostawiono jeszcze na rosyjskiej ziemi. Byłyśmy szczęśliwe. Jechały też z nami dwie dziewczynki, niemowlak, urodzone w obozie w Jogle, Świetlana Bartosiewicz i Barbara Pękalska. Pociąg znowu miał przestoje przed uzyskaniem wjazdu na stację. Znowu raz na dzień wsuwano nam do wagonu naczynie z chlebem, zupą-wodą i "kipiatkiem". Teraz łyżki miałyśmy swoje. Wiozłyśmy do domów, na pamiątkę, drewniane łyżki, które robili nam nasi znajomi mężczyźni w obozie. Jechałyśmy całe dwa tygodnie, ale teraz każdy odcinek drogi zbliżał nas do kraju, do swoich i radość dodawała nam sił.

Ja miałam chory kręgosłup, ale jakoś jechałam. W Białej Podlaskiej, już w Polsce, mieszkańcy witali nas bardzo serdecznie. Chcieli nas karmić wszystkim, co mieli najlepszego. Musieliśmy jednak jeść ostrożnie, żeby powoli przyzwyczajać się do normalnego odżywiania. W tym mieście dano nam też papier ze zdjęciem, będący tymczasowym dowodem tożsamości, uprawniający do bezpłatnego skorzystania ze środków lokomocji w drodze do domu. Była w nim uwaga, nakazująca zgłosić się w miejscu zamieszkania, do tamtejszych władz bezpieczeństwa.

Wróciłam z obydwojoma braćmi do Matki i do domu. Wysłano mnie zaraz do sanatorium przeciwgruźliczego. Ojciec przysłał z USA potrzebne lekarstwa. Brałam bolesne zastrzyki w kręgosłup i powoli wyzdrowiałam. W ponad rok później wyszłam za mąż za Kazimierza Klinke. Z czasem zostałam matką dwojga dzieci, córki i syna. Bezprawną, bestialską deportację do ZSRR wspominam jako zły sen.

*Post scriptum:*

*W tym samym transporcie co i Maria Skowrońska zostały wywiezione z Kolbuszowej, w listopadzie 1944 roku, do łagrów w ZSRR, w okolicę Borowicz następujące kobiety: Natalia Babko, nauczycielka, Maria Dudzińska, gimnazjalistka, Zofia Golniewicz, gimnazjalistka, Zofia Gruszka, nauczycielka, Zofia Januszewska, Anna Kić, pracownica*

*Kolbuszowskiego magistratu, Zofia Kotlarek, gimnazjalistka, Aniela Mielcuszny, gimnazjalistka, Stefania Opalińska, żona Ludwika, piekarza, który dostarczał chleb członkom AK w czasie akcji "Burza", Zofia Wildhirt, gimnazjalistka. Wszystkie te osoby były członkami AK. Z Raniżowa została wywieziona w tym transporcie Anna Pękalska. W drugim transporcie, wysianym do Stalinogorska, z kobiet była tylko Władysława Rychłowa.*

*Maria Skowrońska- Klinke, urodziwa, wysoka, szczupła, czarnowłosa, bardzo szlachetna osoba, zmarła w lecie 1989 roku mając tylko sześćdziesiąt osiem lat. Mąż, Kazimierz Klinke, zmarł wcześniej. Żyją ich dzieci i wnuki. Córka Barbara, za mężem Ungert, mieszka w Kolbuszowej. Syn Andrzej jest utalentowanym skrzypkiem Orkiestry Symfonicznej w Krakowie.*

*Halina Dudzińska*